DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1. 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. Poznań, 10 lutego 1889 r. Nr. 5.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.

Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

Powołanie kobiety.

Gdy przypatrzymy się mężczyźnie i kobiecie, stojącym obok siebie, dostrzeżemy natychmiast różnicę powierzchowną pomiędzy nimi. Mężczyzna to olbrzym, kobieta to delikatna latorośl; mężczyzna to widoczna i w oko wpadająca siła, kobieta to mdła i giętka trzcina. W mężczyźnie też złożył Bóg wyraz potęgi i panowania, w kobiecie wyraz uległości i słabości. A jeśli narody mają w mężczyznach swych karłów i liliputów niedołężnych, to tu nie Bóg czegoś zaniedbał, ale wychowanie, albo rozpieszczone i za prędkie życie wszystkiemu winno; przeciwnie — jeżeli mężczyźni są sługami, a niewiasty królami, to także nie zrządził tak Stwórca, ale wina spada na ludzi, którzy skrzywili Jego myśli swojemi wybrykami i zachciankami; spada wina na mężczyznę i kobietę, że oboje zajęli niewłaściwy zakres działania. Ale chociaż na pozor ujął Stwórca kobiecie z owej zewnętrznej potęgi, i uniżył ją niejako wobec mężczyzny, to znowu obdarzył ją taką wewnętrzną siłą serca, takim wulkanem uczucia, że na właściwem dla jej działania polu maleje mężczyzna wobec niej. Kobieta jest bez zaprzeczenia i wątpliwości w świecie serca i uczucia . . . królową, mężczyzna zaś pacholęciem. Jest więc równowaga między mężczyzną a kobietą: mężczyzna to jakby dąb nieugięty i silnoramienny, opierający się burzom i gromom nawet, a kobieta to cudowny kwiat, siejący urok, krzepiący życie, z którego się nawet nasiona wszelkiego życia dla najpóźniejszych wykształcają pokoleń.

Mężczyzna góruje s i ł ą, kobieta w d z i ę k a m i, jakby barwą i wonią kwiatów; mężczyzna góruje r o z u m e m i w i e d z ą, kobieta s e r c e m, u c z u c i e m i p r z e n i k l i w o ś c i ą. Cała też potęga niewiasty spoczywa w tych wdziękach, któremi Stwórca oblewa żadną namiętnością niezachmurzone jej jasne lice, promieniejące szczerością, prawdą uczucia. Wdzięki zewnętrzne kobiety, chociażby niezwykłe, krótką mają trwałość: dla tego Stwórca nadał jej wdzięki nieprzemijające, niezmienne, jakoby nieśmiertelne, i w s z y s t k i e z ł o ż y ł w s e r c u, a uczynił to niewieście serce jakoby sprężyną nietylko życia ziemskiego, ale i życia nadziemskiego, wiecznego. Powiedzieć o kobiecie: „nie ma serca!“ znaczy potępić ją zupełnie, wydać na nią najokropniejszy wyrok! Powiedzieć o mężczyźnie: „to człowiek bez rozumu i wiedzy!“ tyle znaczy, co napiętnować go pogardą. Największa potęga kobiety spoczywa w jej sercu. Gdy się jej serce rozpłomienia do czego pięknego i wzniosłego, wtedy rodzi się nowy nieśmiertelny świat dla niej, świat wiecznej chwały: niebo! — i przeciwnie, gdy w sercu kobiety poczyna goreć brudna lawa wulkanu, jej świat doczesny będzie . . . brudnym; pośmiertny . . . światem potępienia. Wielki więc i święty obowiązek matki czuwać nad pierwszem kiełkowaniem serduszka córki, czuwać nad wschodem słońca w piersi dziewiczej, czuwać nad pierwszemi promieniami, które z niego wytryskają i ubarwiają dziewiczy świat, który światło i ciepło wzniecić powinien. Jaki początek życia sercowego, taki zazwyczaj i jego koniec.

Jeżeli nasza dusza ma dwa skrzydła, to jedno góruje u mężczyzny, a drugie u kobiety. Skrzydło rozumu, wiedzy czyli myśli góruje u mężczyzny; on też bada tajemnice ziemi i nieba, tajemnice wszechświata, on układa systemata naukowe, stanowi rządy, prawa i tworzy państwa, on je zmienia, przeistacza, burzy! U niewiasty góruje skrzydło serca, ciepła, ognia; ona zbliża, łączy, spaja, łagodzi, uśmierza, goi; jeżeli nie buduje, to i nie niszczy, naprawia ciągle. Co więc mężczyzna dobrego wymyśli i zaprowadzi, czego on swego skrzydła duszy krańcami dosięgnie i na ziemię zmiecie, to znowu kobieta pielęgnuje, krzewi i zachowuje — ona, jak anioł biały, zmiata i wymiata brudy ziemi s w e g o s e r c a s k r z y d ł e m, ona barwi miłością wszystko na ziemi, ona promieniem serca oświeca i ogrzewa wszystko, we wszystko miłość zaszczepia. O! jakże piękny i zaszczytny ten świat niewieści! Ale o ile nam przyjemniejszy człowiek życia i czynu zdrowego od uczonego pedanta, o tyle milszą nam kobieta *serdeczna*, serdecznie cicha i skromna od owej Meduzy, lub Amazonki bajecznej. Śliczny to świat, z serca kobiety wynikający, ale może stać się i strasznym. Bo kiedy serce zahuczy namiętnością w młodej piersi, to wtedy i rozumu i woli siła nie oprze się wylewom piersiowej kaskady, wtedy głowa stanie się sługą maluchnego serca. A przecież dał Stwórca głowie ludzkiej dziesięć razy większy rozmiar, niż sercu, przecież głowę postawił na szczycie, jakoby jasną lampę w świetlicy morskiej, a serce ukrył wewnątrz piersi i umieścił je niżej. Prawa swoje Bóg wszędzie sam wypisał, kto je przestępuje, grzeszy niezawodnie i ciężko.

(Dokończenie nastąpi).

Bigarreau.

Nowela
Andrzeja Theuriet.
(Tłom. J. D.)

(Dokończenie).

VI.

Wieczorem po tych wypadkach dyrektor więzienia wszedł promieniejący do jadalni w gospodzie, gdzie nadleśniczy Yvert na wieczerzę oczekiwał.

— Mówiłem panu zaraz, że on daleko nie ucieknie — zawołał. — Żandarmi z nadzorcą ujęli mego zbiega w leśnem ukryciu i przyprowadzili z tryumfem. W tej chwili jest już w więzieniu.

Okrutny uśmiech zaigrał mu na ustach, o oczy dziko błysnęły, gdy, robiąc odpowiedni ruch laską, rzekł:

— Nadzorca wściekał się ze złości — i nim drzwi zamknął, dał chłopcu taką chłostę, iż ta z ochoty do spaceru na świeżem powietrzu z pewnością na zawsze go wyleczy.

Rzeczywiście chłosta ta uleczyła biednego Bigarreau na zawsze.

Bez żadnych względów na zdrowie więźnia Seurrot wepchnął go zmęczonego daleką drogą w skwarze słonecznym do karnej celi. Upał i jasne światło przestworza zmienił mu bezpośrednio w lodowo-zimne więzienie. Panująca tam straszliwa ciemność zdwoiła się w umyśle Bigarreau wspomnieniem trzech tygodni na wolności przebytych, oraz bólem, jakiego doświadczał w skutek gwałtownego rozłączenia z jedyną na świecie istotą, jaka go kiedykolwiek kochała. W uszach brzmiał mu jeszcze rozpaczliwy krzyk Noriny — o oczy ciągle ją widziały z rozpuszczonemi włosami na krańcu lasu leżącą wpół zemdloną. Wszystko się skończyło — bez wątpienia nigdy jej więcej nie zobaczy, a życie będzie dlań odtąd męczarnią, zwiększoną okropnemi snami. Stracił przytomność. Ciemne więzienie zaludniło się widmami: nadzorca, w bat uzbrojony, dyrektor z okrutnym uśmiechem i strasznemi oczyma, szczerzący zęby, „zyz“ Champenois... wszyscy występowali z cieni i dziko rzucali się na niego. Równocześnie zdawało mu się, iż mury więzienia zwężają się, powietrze uchodzi. Dusi się — w uszach mu szumi — nagłe gorąco uderza do skroni, zmienia się w pot zimny i dreszcz wstrząsający; ochrypłym głosem woła na pomoc Noriny.

Rano, gdy dozorca wszedł do celi, znalazł go w paroksyzmie febry, dzwoniącego zębami. Przywołano więziennego lekarza, a ten, obejrzawszy więzienia, skonstatował zapalenie płuc.

Myśl o smutnych skutkach przygody nieszczęśliwego chłopca nie opuściła ani na chwilę nadleśniczego.

Wyrzucał sobie, iż był mimowolnym sprawcą jego ucieczki i postanowił wstawić się za nim, żeby go przynajmniej z karnej celi uwolniono. Przyszedłszy w tym zamiarze do dyrektora, dowiedział się, iż „wisus“ zachorował i do szpitala został przeniesiony. Yvert chciał go zobaczyć, zaprowadzono go więc do nowego budynku, umyślnie na szpital urządzonego, gdzie Bigarreau na przepisanem małem łóżku pod cienką kołdrą trząsł się febrycznie, dręczony gwałtownym niepokojem; oczy miał szeroko rozwarte i wymawiał wyrazy bez związku. Nie poznał swego współziomka, który, oddalając się, zalecił go gorąco dozorczyni.

Gdy smutny przekroczył zakratowane drzwi więzienia, usłyszał za sobą głos kobiecy:

— Panie....

— Obrócił się i ujrzał piętnastoletnią może dziewczynę, z gołą głową, w krótkiej spódnicy perkalowej, w okurzonem obuwiu.

— Przepraszam pana — rzekła, spoglądając nań badawczo swemi dużemi, czarnemi oczami — czy pan może jest jednym z panów z więzienia?

— Nie, moja mała, odparł, dla czego?

— Ach! westchnęła z smutną, zawiedzioną twarzą; a po krótkiem wahaniu odważyła się zapytać znowu. Do kogoż mogę się udać, żeby się dowiedzieć o więźniu nazwiskiem Bigarreau?

— Bigarreau! zawołał Yvert zdumiony.

— Tak jest, chłopiec, który uciekł i którego wczoraj napowrót przyprowadzono. U nas w wyrębie go znaleźli.

Opowiedziała w krótkości ucieczkę i ujęcie młodego więźnia.

— Wyrwali go wbrew naszej woli — mówiła dalej — gdyby mieli odrobinę serca i nam go pozostawili... byłby u nas uczciwie na chleb zarabiał. Chciałabym to panom dozorcom powiedzieć, jeżeli tylko z nimi mówić mi pozwolą. O! panie, czy sądzisz pan, że to możliwe?

— Myślę, że nie zechcą cię posłuchać, moje dziecię, odparł Yvert, patrząc na Norinę z podziwem i współczuciem — poczem dodał:

— Znam Bigarreau, jesteśmy współziomkami i właśnie go odwiedzałem.

Twarz dziewczyny rozjaśniła się.

— Ach! zawołała — jakże się miewa?

— Leży w łóżku.... chory.

Norina zbladła; wargi jej zadrżały, a w czarnych oczach zabłysły łzy duże.

— Chciałabym go zobaczyć — rzekła drżącym głosem, w którym przebijało tłumione łkanie.

Yvert znał ostrość przepisów więziennych i nie ośmielił się łudzić Noriny, lecz powstrzymywany ból dziewczęcia wzruszył go do głębi. Obiecał jej pomówić z dyrektorem i pozwolenie za dni kilka uzyskać.

— Sądzę, że tymczasem znacznie mu się polepszy — wtrącił — przyjdź za dwa, lub trzy dni znowu

— Ale ja mieszkam sama z ojcem na wyrębie — rzekła cichutko — i mogę się tylko wtedy oddalić, gdy będę miała pewność zobaczenia Bigarreau. Gdybyś pan był tak dobrym i mnie uwiadomił.... Mieszkamy w wyrębie Val-Lerveux. Nazywam się Norina Vincart.

— Dobrze, Norino, sam ci odpowiedź przyniosę.

— Niech to Bóg panu nagrodzi, o! dobry panie.... urwała, szlochając na nowo. Ale pan go zobaczy, nie prawdaż?

I podała nadleśniczemu bukiecik różowych wrzosów.

— Daj mu pan to od Noriny i powiedz, że zerwałam je nad strumieniem i że... go... całuję.

Nadleśniczy wziął bukiecik, obiecując wywiązać się z polecenia.

Norina połykała łzy.

— Do widzenia! dobry mój panie, z prędką wiadomością!

I skierowała się ku domowi.

Następnego dnia Bigarreau miał się gorzej. Dozorca oznajmił Yvertowi, że numer 24 pragnie z nim mówić; przyczem dodał, że rzecz jest nagląca, zdaje się bowiem, że więzień nocy nie przeżyje. Yvert pospieszył do więzienia. Chłopiec był bardzo słaby, ale przytomny. Duszność zwiększyła się; oddychał z trudnością. Gdy siostra dozorująca oznajmiła mu przybycie rodaka, którego poznał tym razem, miał jeszcze tyle siły, iż dolną wargą probował zrobić swój zwykły grymas.

— To było nieszczęście! — mruknął świszczącym głosem — gdybym był miał tylko pięć minut czasu, byłbym znikł w gęstym lesie i wyśmiewał się z żandarmów.... Teraz rachunek mój skończony, nie zobaczę już więcej kościelnej wieży z Villotte....

— Mój biedny Bigarreau — przerwał mu nadleśniczy — jesteś młody i silny, przetrwasz chorobę.

Chłopiec zrobił znak zaprzeczający.

— Mówmy o czem innem — rzekł Yvert — mam polecenie do ciebie od dzielnej dziewczyny, znanej ci z Val-Lerveux, a która o tobie nie zapomniała.

— Noriny? spytał cichutko Bigarreau, którego szkliste oczy nagła rozjaśniła radość. Widziałeś ją pan?

— Widziałem, odparł nadleśniczy, wyciągając bukiecik z kieszeni — oto kwiaty, zerwane nad strumieniem, które ci z pocałunkiem przysełą.

Bigarreau chciwie pochwycił bukiecik i poniósł go do ust, jak gdyby chciał pocałunek Noriny i zapach lasów wchłonąć w siebie; poczem oczy mu się zwilżyły.

— Kochana dziewczyna! Są jeszcze dobrzy ludzie na świecie, panie Yvert — i gdybym był pozostał z nimi, mógłbym być także uczciwym człowiekiem, jak każdy inny. Zacząłem już zrzucać starą skórę, wtem nadszedł nadzorca i .... minęły dobre czasy! — Nie ujrzę już więcej Noriny, ale proszę pana serdecznie, oddaj jej także pamiątkę ode mnie. Podaj mi pan kaftan mój .... tam u stóp łóżka.

Przeszukał zwolna kieszenie i wyciągnął nóż z rączką bukszpanową, jakie mają owczarze.

Oddaj jej pan, proszę serdecznie, mój nóż. Wiem dobrze, co to za nędzny podarunek; a mówią również, iż przyjaźń przecina. Ale w tych okolicznościach nie ma niebezpieczeństwa. Gdy go Norina odbierze, śmierć już przetnie sama nić mego żywota.

Nadleśniczy napróżno pocieszyć go usiłował.

— Nie, o! nie — powtarzał Bigarreau — wcale się nie łudzę — pójdę na cmentarz, nad którego założeniem pracowałem. Powiedziałem panu zaraz, że nie dotrwam do przypisanego czasu .... Nadzorca bił nielitościwie — tak nielitościwie, że ślady jego razów na tamten świat poniosę. Ale proszę pana, nic o śmierci, ani o cmentarzu nie mówić Norinie, gdy ją pan zobaczysz. — Dosyć ona się zmartwi. Oddaj jej pan nóż i .... ucałuj ją ode mnie i powiedz .... że mnie przeniesiono daleko, gdzie mi lepiej będzie i że z myślą o niej .... poszedłem. Powiesz jej to pan, panie Yvert, o! bo to nie wymysł, ale czysta prawda.

Napad kaszlu przerwał mu dalsze wynurzenia, a siostra dała znak odejścia nadleśniczemu, który też, ucałowawszy wpierw biednego swego współziomka, wyszedł mocno wzruszony. Dnia następnego Yvert ze smutkiem udał się drogą ku wyrębowi w Val-Lerveux. Minąwszy strumień, nad którego brzegiem szedł kawałek, spostrzegł w środku pochyłości chatę ojca Vincart; usiłował więc nadać twarzy wyraz weselszy, aby złudzić Norinę. Ta poznała go z daleka i wybiegła naprzeciw.

— I cóż? spytała zadyszana.

Lepiej mu — odpowiedział nadleśniczy lakonicznie, już nie cierpi więcej.

Z trudnością mu przychodziło zwodzić młodą dziewczynę, ale przypomniał sobie, iż wypełnia ostatnią wolę Bigarreau, a biedak ten w prostocie swego serca sądził, że kłamstwo podobne będzie mniej bolesnem dla dziewczęcia.

— Ach! dzięki Bogu, zawołała, oddychając głęboko — i prędkoż będę go mogła zobaczyć?

— Niestety! nie teraz, moje dziecię. Lekarz nakazał zmianę powietrza, dla tego wzięto go stąd daleko .... do ojczyzny. Dziś rano odjechał.

Grube łzy stoczyły się po licu Noriny.

— Odjechał — wyjąkała — i ja już go *nigdy* nie zobaczę?

— Myślał wiele o tobie, mówił nadleśniczy — nim odszedł, prosił mnie, aby ci to oddać.

Podał jej nóż. Norina kurczowo ścisnęła go palcami.

— Polecił mi także pocałować cię w jego imieniu.

Norina zaczęła łkać i nachyliła nadleśniczemu swe opalone oblicze, na którem zacny człowiek złożył ojcowski pocałunek.

— A więc dobrze! westchnęła — jeśli to dla jego korzyści .... Możesz mi pan zapewnić .... możesz przysiądz .... że tam mu lepiej będzie?

— Przysięgam ci, że lepiej....

I nie pomylił się nadleśniczy. Na nowym cmentarzu, gdzie wyniosłe, pięknie sklepione buki rzucały cień na wzgórze było Bigarreau „lepiej.“ Używał tam owego nieprzerwanego spoczynku, w którym ani sny przykre, ani cierpienia więzienne już przeszkodzić nie mogą.

KONIEC.

DWIE PIOSNKI

(z towarzyszeniem fortepianu.)

DLA PANI NATALII CZARLIŃSKIEJ

w uznaniu Jej pracy i talentu

z niem. na polski język przetłomaczyła

Lara.

I.

Wie berührt mich wundersam
Oft ein Wort von dir! ......

(muzyka Franciszka Bendel.)

Jakże wzrusza mnie cudownie
Jedno słówko twe,
Gdy z usteczek twych wymownie
Płynie w serce me.

Co w niem twego, a co mego?....
Ach! nic nie wiesz ty,
Na dnie serca czuję swego
Uśmiech twój i łzy.

Ile ponęt mieści nowych
Każde słówko twe,
Gdy z usteczek koralowych
Płynie w serce me!

Jakże błogo, gdy serc dwoje
Złota wiąże nić,
Spowić duszę w marzeń zwoje
I o szczęściu śnić!

II.

Wanderschwalbe, liebe kleine,
Die du nistest am Balkone.....

(A. Rubinstein. Op. 83, N. 6.)

Jaskółeczko moja mała,
Co się gnieździsz przy balkonie,
Pytasz mnie, czemum zbolała,
Czemu serce we łzach tonie?....
Wszak i twoja pieśń żałosna,
Choć się wkoło śmieje wiosna.

Tyś szczęśliwsza, jaskółeczko,
Bóg ci dał skrzydełek dwoje,
Rzucasz samotne gniazdeczko,
Wolna — wzlatasz ponad zdroje,
Ponad skały i gór szczyty
W ciche, słoneczne błękity.

Czemuż z tobą wraz nie mogę
Rzucić ziemi łez, niedoli?...
Gwiaździstą przebiegłszy drogę,
Zapomnieć o tem, co boli!
Wolna — lecisz wyżej, dalej,
Mnie tu żar tęsknoty pali.

Zwiędną kwiaty — lato minie —
Rozstać nam się będzie trzeba,
Ty w innej słońca krainie
Gorętsze powitasz nieba!...
Ja samotna tu zostanę,
Ciężką w sercu kryjąc ranę.

Żegnaj, jaskółeczko miła,
Niech twój śpiew raz jeszcze słyszę,
Zanim zimna mnie mogiła
Do snu cicho ukołysze,
Zanim wrócisz z przyszłą wiosną,
Zanuć mi swą pieśń miłosną.

A gdy wrócisz z przyszłą wiosną,
Uściel gniazdko na mogile,
Kędy białe róże rosną,
Złote szeleszczą motyle;
Biały kwiatek powie tobie,
Że mi lepiej w cichym grobie.

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Ze wsi, w lutym.

Podobno tam gdzieś, wśród świata i ludzi, wirujący karnawał zaprząta głowy, a może i serca zaprusza! My, odludkowie wiejscy, nic o tem nie wiemy, cieszymy się tylko zmianami temperatury; po śniegu i silnych mrozach pluskaliśmy się przez kilka dni we wodzie, gdy teraz znów lekki przymrozek stężył nasze samowolne drogi i suchą nogą obchodzimy gospodarcze obszary. Mimo że to miesiące ogólnej wesołości — styczeń i luty! — żadne echa nawałowe, ani z blizka ani, z daleka nas nie dochodzą, widocznie, cała ziemia wielkopolska świadoma, w jakich się znajduje przykrych, trudnych stosunkach, cicha i poważna, odrzuca wszelką nawet myśl zabawy; za to już jedno winniśmy ją więcej szanować i kochać! Prawdopodobnie zakłady i instytucye naszego poznańskiego grodu uskarżać się będą na tę niechęć wytańcowywania im większych funduszy. Gotowości do składania ofiar polskim sercom odmówić nie można, lecz — Bogiem a prawdą — wymuszanie ofiar i jałmużny za pomocą tak zwanych balów „dobroczynnych" zdaje nam się co najmniej niewłaściwe wobec naszego położenia. O ileż wyżej stanęłaby ta hojność i ofiarność staropolska, gdyby, mając tylko na celu zabezpieczenie instytucyi dobroczynnych, nie miała za podstawę osobistych przyjemności. — Wyznać zarazem musimy, że bawić się skromnie, w miarę możności, z wyrzeczeniem się czy osobistego, czy ogólnego splendoru pozornego nie umiemy, czy też nie chcemy; u pań naszych, niestety! zanadto podniecony jest gust estetyczny a zarazem zbytkowny, a u naszej młodzieży tylko szampan zdolny gasić pragnienie! — Jeśli dla przyjaciół karnawału pociechą to być może, donieść im winnam, że, wedle otrzymanych wiadomości prywatnych, nietylko u nas, ale i w Krakowie chwilowo nikt się nie bawi; obecnie są tam wszyscy pod wrażeniem Sołowiewa, historyka, filozofa, idealisty Rosyanina, około którego skupia się tam cała kwintesencya rozumu. — Również odebrałam wiadomość, że kościół Panny Maryi, jedna z najpiękniejszych świątyń słowiańskich, wzniesiona w połowie XIII wieku, ulegnie radykalnej restauracyi, dzięki inicyatywie swojego prałata, ks. Bobra. Restauracya ta, której plan, jak słyszeliśmy, zakreślił prof. W. Łuszczkiewicz, odbywać się będzie pod nadzorem komitetu, złożonego ze znawców sztuki.

Krótką dzisiajszą korespondencyą zakończę wyrażeniem rozkosznego uczucia, jakiego zapewne wszyscy doznali, wyczytawszy pomyślną wiadomość o rezultacie zebrań i narad względem „Banku ziemskiego," i otwarciu blizkiem jego działalności; są to wewnętrzne, wstrząsające pociechy, zaktóre Bogu dziękować należy. — Niech odgłos takich wieści przejmie uczuciem wstydu wszystkich tych, co kurczą ziemię ojczystą.

Wielkopolanka.

Zpoza kordonu.

Warszawa się bawi, tańcuje. Za jej przykładem idą większe i mniejsze miasta prowincyonalne. Prywatne bale po dworach wiejskich prawie zupełnie już wyszły z użycia, jako zbyt kosztowne. Rodzice, mający panny na wydaniu, zmawiają się z młodzieżą na dzień oznaczony do miasteczka i tam się odbywa zabawa; ma to być oszczędniej, praktyczniej. I jest rzeczywiście oszczędniej, odkąd nie słychać, aby młodzież poza balem jakieś excesa, „szumki" i tym podobne rzeczy wyprawiała. A czas wielki na upamiętanie, bo smutne rzeczy z własnością ziemską się dzieją. Przechodzi ona wciąż w ręce żydowskich, małomiasteczkowych faktorów. Co się staje z wioską, będącą w ręku takiego właściciela, łatwo odgadnąć. Nie posiadając żadnych fachowych znajomości rolnictwa, dziedzic taki strzeże się, jak śmiertelnego grzechu, wszelkiego nakładu, myśli tylko o wyciąganiu zysków z ziemi, i w krótkim czasie doprowadza gospodarstwo do ruiny zupełnej, przy nader małych potrzebach osobistych; może jednak wyżyć z rodziną z nędznych dochodów, siedzi więc w wiosce i pozbawia ogół produkcyi należytej z bogactw przyrodzonych. Smutna zatem dola czeka kraj nasz, jeśli rzeczy pójdą dalej tym samym torem. Tak więc od karnawałowych tanów do smutnych przechodzę rzeczy, ale cóż robić, kiedy owa wesołość to szum, wir chwilowy, a pod nim leży smutna, twarda rzeczywistość.

Dzienniki rosyjskie zajmują się przeważnie układami z watykanem, i cieszą się z nieporozumień, wywołanych temi układami, między kuryą a prasą zagraniczną polską. „Czas już, wołają, aby Polakom otwarły się oczy, aby przejrzeli, czego się mogą od Rzymu spodziewać i gdzie ich jedyne zbawienie!" Naturalnie w prawosławiu i w Rosyi!.. Zapewniają przytem, że o wprowadzeniu języka rosyjskiego dla katolickiego kościoła nigdy nie było mowy między p. Izwolskim a papieżem, że wcale nie leży w interesie państwa rosyjskiego tworzyć sobie katolików Rosyan obok dążenia do jedności wiary wszechsłowiańskiej. Łatwo temu uwierzyć; panslawizm rosyjski nie poczynił jeszcze żadnych ustępstw od swej trójcy tj. jedności religii, jedności politycznej i jedności języka.

Pojawiła się tu książka, napisana przez Edwarda Bogusławskiego, pod nadpisem: „Słowiańszczyzna". Autor wytyka w niej przeszkody do urzeczywistnienia jedności słowiańskiej, tkwiące w samej Rosyi, w jej systemie drapieżnym, bezwzględnym na cudze potrzeby duchowe; wytyka wyraźnie, co odtrąciło Bułgaryą od jej dobroczyńców i wyswobodzicieli, co ją uczyniło niewdzięczną, co odwraca serca wszystkich Słowian od naturalnego sprzymierzeńca i opiekuna.

Mimo tak gorzkich, niczem nieosłodzonych pigułek, książka uzyskała debit w kraju, bo w przyszłości upatruje zbawienie dla Słowian w zjednoczeniu politycznem z Rosyą.

Niektórym gazeciarzom przyszłość Europy już w następujących odrysowała się kształtach. Cesarstwo wszechsłowiańskie i cesarstwo niemieckie pod rządem Habsburgów mają stać obok siebie i kierować losami świata, a reszta królestw odgrywałaby taką rolę, jaką dziś odgrywa Belgia, Dania i tym podobne.

Wszystko to mogłoby być, gdyby tygrysy mogły przemieniać się w baranki, tj. gdyby Moskale mogli stać się uczciwymi, sprawiedliwymi ludźmi.

Ale jakże dalecy są ci sami gazeciarze od sprawiedliwości, gdy, wynosząc wysoką tolerancyą rosyjską, uznają przytem za sprawiedliwy fakt następujący:

Polak-katolik chciał sprzedać wieś swą żonie swej, nawet prawosławnej, ale spolaczałej, i władze tej sprzedaży uprawomocnić nie chciały. Dla czego? bo nabywczyni, rusińska włościanka, z pochodzenia zdradza polskie poczucie narodowości. Tak krzycząca niesprawiedliwość znajduje jednak zupełne przyznanie słuszności w dziennikarzu rosyjskim.

Szukaj tu, słowiańszczyzno, ocalenia w takiej przystani, zatrutej miazmatami śmierci moralnej! Nie, lepiej ci cierpieć i w cierpieniu wyrabiać siły.

Charakter narodu tak, jak charakter pojedyńczego człowieka, wpływa potężnie na jego własne dzieje. Chcę pomówić o charakterze w ogóle z powodu nowej powieści, napisanej przez Stan. hr. Rzewuskiego, p. n. „Hrabia Witold“.

Autor jest to młody pisarz, wnuk Henryka Rzewuskiego, próbował swych sił na scenie, a pierwsza jego powieść obiecuje głębszego myśliciela i znawcę charakterów ludzkich.

W literaturze naszej posiadamy bardzo małą liczbę powieści psychologicznych, wnikających w głąb' duszy ludzkiej, a jednak los nas zależy tak bardzo od własnego naszego charakteru, jako też od charakterów ludzi, nas otaczających. Pisarze nasi chwytają tylko rysy zewnętrzne, nawyknienia i zapatrywania, a omijają pokład główny tj. temperament. A jednak temperament to przeważnie kieruje naszem postępowaniem.

Znam człowieka, mianującego się pozytywistą, do którego umysłu przylegały najskrajniejsze teorye materyalistyczne, który jednak w czynach i w uczuciach okazywał się idealistą, prawie romantykiem. Znam także idealistów i to szczerych w przekonaniach, a którzy poświęcili dla miłego grosza rzeczy najświętsze, jako to: pierwszą kochankę młodości, a inni ziemię rodzinną na cele germanizacyjne.

Nasi pisarze chcą już wszystko powiedzieć, pisząc np., że ktoś był religijny! . . a jednak religijność także przybiera odmienne cechy, stosownie do wrodzonych skłonności osobnika. Ktoś np. w modłach, w ascetyzmie szuka zbawienia, inny roznamiętnia się, rzec można, w filantropii tj. w miłosierdziu, inny znów w nabożeństwach kościelnych smakuje i t. d.

Hrabia Witold właściwością swoją wytwarza wypadki powieściowe, a nie jest biernem narzędziem wypadków. Z krwi i z wychowania zfrancuziały sybaryta, nie przestaje być sobą aż do chwili zgonu. Wykwintność nie pozwala mu jednak staczać się w rozpuście coraz niżej — aż do kału moralnego. Rozumowania jego zgadzają się wybornie z skłonnościami wrodzonemi, nie oburza go podłość ludzka, bo sam nie jest lepszym. Nie bierze za złe kochance, iż go zrujnowanego porzuciła dla pieniędzy bankiera, uważa to tylko za smutną konieczność. Nie pogardza też sobą, choć się czuje godnym pagardy w oczach ludzkich.

Wnuk i prawnuk libertynów z czasów saskich i Stanislawowskich, wykształcony w dzisiajszej szkole zepsucia, umiera nawet bez żalu za winy, tak dalece zatracone w nim zostały pierwiastki uczciwego człowieka. Ożeniony z kobietą piękną, bogatą, rozkochaną w nim, nie umie znaleźć szczęścia w tak błogich warunkach, bo potrzeba mu sybarytyzmu wyrafinowanego, drażniącego nerwy, jaki Paryż dać tylko może.

Treść powieści jest następująca:

Hrabia Witold taki, jak go wyżej opisaliśmy, utraca w Paryżu własne mienie, zadłuża się i porzucony przez śpiewaczkę, znajduje się nad brzegiem przepaści bez wyjścia. Wtedy żona jego, pani Ludwika, posiadająca znaczną fortunę, ocala go, płaci długi i ofiarowuje przytułek w swym domu.

Jest to czyn wspaniały, chrześciański, godny uwielbienia. A jednak, gdyby hrabina była przyjęła małżonka z przebaczeniem takiem, z jakiem ojciec ewangeliczny przyjął marnotrawnego syna, cały bieg wypadków poszedłby prawdopodobnie innym torem.

Lecz Ludwika, chrześcianka z przekonań, nie umiała pokonać pychy, ani chętki pomszczenia się nad pokonanym, oddanym na jej łaskę i niełaskę małżonkiem; wrze w niej rozterka między zasadami a temperamentem dziedzicznym.

Witold, za powrotem do domu zepchnięty do roli rezydentów, pogardzany od wszystkich, nawet od sług, musiał albo stoczyć się w kałużę moralną, albo uczynić tak, jak uczynił. Nie uwzględniono u niego ani potrzeby rozrywek, ani konieczności zajęcia obowiązkowego.

Jedyną przyjemnością osadzonego na pokucie grzesznika były przejażdżki powozem z córeczką Helenką i jej towarzyszką, córką jednej z rezydentek, Kicią. Uchodziło to czas jakiś, ale podlotek szybko rozwinął się w dziewicę, a ciągłe przestawanie panienki z mężczyzną dla obu stron stało się niebezpiecznem. Ludwika, bądź jak bądź, kochając męża, zaczęła być zazdrosną, aż razu pewnego wybuchła szkaradna scena, po której dalszy pobyt Witolda w domu stał się niemożliwym. Postanowił więc umrzeć, ale żal mu jeszcze było tej przeszłości paryzkiej, tak dłań drogiej — pragnie raz jeszcze ujrzeć miejsca ulubione, pożegnać dawną kochankę, Klarę, a potem wrócić i umrzeć. Upokarza się w haniebny sposób, aby dostać pieniędzy, jedzie, ogląda ukochany Paryż, żegna śpiewaczkę, udającą się do Ameryki po pieniądze, rozczula się nad jej dobrocią, że go poznała, że nie wstydziła się jego nędznego ubrania, że mu powiedziała przy świadkach, iż był jej drogim. . . Potem hrabia udaje się do domu gry z ostatnim groszem, aby wygrać pieniądze potrzebne na powrót; wygrywa nietylko franki, ale i flaszeczkę trucizny, od której można umrzeć powolnie, bez ściągnięcia podejrzeń.

Wróciwszy do domu, kładzie się do łóżka, z którego nie powstaje więcej. Ludwika umierającemu przebacza wszystko i przyprowadza dziecko, aby mu dał błogosławieństwo ojcowskie.

Ta jedna chwila — ta prośba o błogosławieństwo nawraca grzesznika, wierzy on teraz gorąco w Boga, modli się, i z modlitwą na ustach umiera.

Dla czegoż mu pierwej nie przebaczono?

Bo córa starego, pysznego rodu nie umiała zdobyć się na pokorę chrześciańską.

Powieść zdradza brak wyrobienia pisarskiego, więcej tu gadaniny, niż obrazowania, ale jest w niej głębokość, obiecująca dużo w przyszłości. Na pracy tej odbite są także ślady studyów nad naturalistami francuzkimi, czego autor strzedz się właśnie powinien, bo tamci pisarze zatapiają się w zewnętrznych drobiazgach, a potrącają zaledwie o to, co się w duszy człowieka dzieje. Słusznie ktoś powiedział, że Zola na kilku stronnicach opisuje ból żołądka, a kilku wierszami zbywa boleść po stracie ukochanej osoby.

Łatwiej jest opisywać konwulsye ciała, niż konwulsye ducha, lecz pokonanie trudności stanowi wielkość zadania.

A. M.

Prace i zajęcia kobiet.

(Ciąg dalszy.)

— Mamy tyle tłomaczeń, bo przecież o treść głównie chodzi — ktoś gotów zawołać. Zapewne, lecz tłomaczenie rzadko wyrównuje oryginałowi. Ma się wówczas większy wybór, czerpie się dowolnie, nadto przybywa nam jeszcze jedno przyjemne zajęcie, można samemu tłomaczyć. Ktoby chciał podjąć się tej pracy, powinien przystąpić do niej z pewnem przysposobieniem, bo nie jest to rzecz tak łatwa, jak się na pozor zdaje. Bardzo mało mamy dobrych tłomaczeń. Niektórzy wydawcy tanich powieści przejęli za stałą normę lichotę w świat puszczać, a co w tem jest najgorszego, iż poprzednio szumnemi prospektami wydawnictwa swe wychwalają.

„Do olbrzymiej ilości tłomaczów — jak się wyraziło pewne czasopismo warszawskie — którzy, przyznać to trzeba, nie są wybrani, a i powołani wcale nie byli. zastosować można zdanie, że: najniebezpieczniejsze dla społeczeństwa są zajęcia, którym przepisać nie można stałej miary wiadomości. Plagą jest tutaj pozorna dla każdego dostępność pracy, gdy w rzeczy samej zadanie tłomacza wcale nie jest łatwe, bo przede wszystkiem potrzebna mu jest gruntowna znajomość obcego i swego własnego języka, potrzebne ogólne, encyklopedyczne wykształcenie (mówimy o przekładach z dziedziny beletrystycznej) a przynajmniej świadomość swej nieświadomości, bo inaczej można z łatwością w każdym wierszu popełniać rażące i śmieszne błędy. Błędy te podzielić można na trzy kategorye: I. Błędy, wynikające z nieznajomości języka obcego, II. błędy z nieznajomości języka własnego, III. błędy, świadczące o niedokładnem zrozumieniu przedmiotu i braku odpowiedniego wykształcenia“.

My dodamy jeszcze: błędy z nieznajomości wyższego świata i jego zwyczajów. Pewien tłomacz, opisując mieszkanie bogatego Amerykanina, ciągle mówił: „usiadł na stołku“ „postawił stołek,“ gdy tam były krzesła i fotele. Inny, nie wiedząc nic o portyerze, napisał, że drzwi (również wspaniałego mieszkania) zasłaniał dywan, cały zaś ton powieści — w skutek złego tłomaczenia — był zbyt pospolity, rubaszny, ciężki, nielicujący z salonową powieścią. Najsmutniejszem jest, iż wydawcy na tem się nie poznają, sądzą oni, że mówienie jakim językiem dostateczną jest rękojmią dobrego przekładu, tymczasem tłomaczenie wymaga innych jeszcze warunków.

Tłomacz, chcący pracę swą drukować, powinien wiernie trzymać się oryginału. Jest to rzecz sumienia; nie płacąc autorowi, nie należy go krzywdzić, koszlawiąc i kalecząc utwor jego. Tytuł dzieła ma być, ile możności, zbliżony do oryginału, z wyraźnem nazwiskiem autora. Bynajmniej nie pochwalamy przekładu: „Solange de Croix Saint Luc“ na „Serce matki“ — „La maison de Mauvere“ na „Książęce gniazdo“ — „Dark Days“ na „Tajemnicę śniegu“ — „In Maremna“ na „Córkę bandyty“ — „Ihr einziger Bruder“ na „Silny duch“.

Ktoż tu domyśli się oryginału? — a chcąc kupić książkę, czyż nie można nabyć jednej powieści w dwóch exemplarzach?

Gorzej jeszcze postępują ci tłomacze, którzy nie podają wcale nazwiska autora oryginału, a nieraz utwor obcy za swój podają.

Najlepiej w razach, gdy tłomaczowi „śliczny tytuł“ (?) idzie pod pióro, lub gdy go ogarnia nieprzyzwyciężona ochota poprawiać autora, podać obok tłomaczenia tytuł w oryginale. Wtedy uczyni się zadość wymaganiom i pokusie. Ile możności także starać się należy nagiąć wyrażenia do myśli autora — indywidualność swą kryjąc za językowe prawidła. Pisać powinno się czysto i jasno bez żadnych niepotrzebnych dodatków, wykrzykników, chyba, że sam autor niemi się posługuje. W wyborze przedmiotu trzeba być wybrednym, łatwiej bowiem można przebaczyć autorowi lichą książkę, gdyż miłość własna zaślepia, niż tłomaczowi przekłada miernoty.

(Dokończenie nastąpi.)

TEATR.

Dawne staropolskie przysłowie: „Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie,“ powtarzane tak często przez przodków naszych, a cechujące tak dobitnie równouprawnienie wszystkich, posiadających drogocenny klejnot szlachecki, zostało doskonale, jasno i dobitnie przedstawione w 5-cio aktowym obrazie historycznym J. I. Kraszewskego, danym dnia 24 z. m. na benefis p. Jakubowskiego.

Ponieważ, o ile tylko pamięcią zasięgnąć możemy, utwor słynnego powieściopisarza dotychczas na scenie naszej granym nie był, dla tego w kilku chociaż słowach podamy treść jego Czytelnikom naszym.

Młody ks. Bronisław, przeżyty i zrujnowany panek, bałamuci lekkomyślnie Annę Kordyszankę, ubogą szlachciankę, i wkrada się do domu jej ojca. Stary Kordesz jednakowoż usposobienia, jak się zdaje, dość sangwinistycznego, nie znosi podobnych „amorów“ i wypędza Bronisława z swego domu, pomimo, że tenże poprosił uroczyście o rękę Anny. — Krok to ważny w jego życiu. Za namową Adama Sierocińskiego, swego przyjaciela, reguluje Bronisław opłakane swe interesa finansowe, zapomina o dawnych „miłostkach“ z hr. Elizą, dąży na kresy, a wreszcie do obozu Kościuszki, gdzie się dosługuje rangi rotmistrza. W kilka lat później spotyka się w Grodku ukraińskim stary Kordysz, dzisiaj majętny obywatel, z rotmistrzem Bronisławem, a dowiedziawszy się z ust samego generała Kościuszki o jego rzetelnej poprawie, oddaje mu rękę swej jedynaczki.

Rola ks. Bronisława, osobistości stanowczo najważniejszej w sztuce, o charakterze trudnym do zdefiniowania, mieszaniny dobrego i złego, spoczywała w rękach samego beneficyanta, p. Jakubowskiego, ale, z żalem wyznać musimy, w dwóch pierwszych aktach zwłaszcza dużo pozostawiała do życzenia. P. Jakubowski przedstawił się tu oczom widza jak najniekorzystniej, ruchy jego bowiem były za sztywne i za jednostajne.

Daleko lepiej wypadły inne sceny, w których beneficyant, oswobodzony z krępujących go więzów kostyumu à la Louis XIV, z życiem i energią oddał dziarskiego rotmistrza ułanów.

P. Janowska w roli hr. Elizy była pod każdym względem niezrównaną, wlała w swą rolę dużo kokieteryi i humoru, przede wszystkiem zaś zasługuje na uwagę jej wspaniała, rzecz można, królewska toaleta, która i na największej scenie znalazłaby uznanie.

P. Skirmunt, jako stary Kordysz, uwydatnił dobrze dumę ubogiego szlachcica, który przede wszystkiem broni swego honoru, jako jedynego skarbu, gardząc tytułami, a pragnąc tylko szczęścia swej jedynaczki.

P. Morska scharakteryzowała bardzo dobrze rolę prostej, naiwnej Anny, co i o p. Siedleckiej, jako komicznej, starej ciotce Balickiej, powiedzieć możemy.

Charakterystyczne typy pochlebców i darmozjadów,

Stopki i Polańca (pp. Popławskiego i Siedleckiego) z prawdą odtworzone zostały.

Adam Sierociński (p. Woyde) odznaczał się powagą i zrozumieniem swego położenia.

Szereg przedstawień benefisowych pomnożył się o dwie jeszcze sztuki, mianowicie: „Ćwiartkę papieru“ Wiktora Sardou, daną na dochód panny Maryi Pankiewicz dnia 31 p. m i „Szczęście Walusia“ p. Jerzego Horwata na dochód p. Józefa Popławskiego. Pierwszej sztuce, jako prawdopodobnie zapomnianej, bo od lat wielu niegranej na scenie naszej, a jednej ze starszych i bez wątpienia najlepszych sztuk Sardou, pozwolimy sobie poświęcić słów kilka.

Chodzi w niej przede wszystkiem o tę finezyą i zmysł podejścia, znamionujące płeć piękną, które autor słusznie z czułkami czyli różkami owadów porównuje, i „szóstym zmysłem“ kobiety nazywa.

Aniela (p. Morska) kocha się idealnie w Prosperze Block (p. Janowski) i zamienia z nim liściki miłosne, posługując się posążkiem Flory, jako skrzynką do listów. Okoliczności jednakowoż złowrogie rozdzielają czułą parę, Aniela wychodzi za wolą rodziców za mąż za bogatego Holendra p. Vanhova (p. Skirmunt), Prosper zaś ranny w pojedynku zniewolony jest przeleżeć kilka miesięcy w łóżku, poczem puszcza się, ażeby o miłości swej zapomnieć, w daleką podróż. W trzy lata Prosper, straciwszy cały majątek, powraca do Francyi i udaje się do domu stryja swego, skąd zostaje wypędzonym z nadmienieniem, że jeżeli się w przeciągu sześciu tygodni o żonę nie postara, natenczas zupełnie wydziedziczonym zostanie. Wtedy to spotyka się powtórnie z p. Anielą w pamiętnym salonie, zamkniętym przez cały ten przeciąg czasu, prosi panią Vanhove o rękę jej siostry Marty, i przypomina jej błogo spędzone chwile. — Po bliższem wyjaśnieniu dowiadujemy się, że liścik pożegnalny, pisany przez Anielę do Prospera, spoczywa jeszcze pod posążkiem Flory, a Prosper, ażeby mieć broń w ręku, spokojnie go sobie przywłaszcza. Pani Vanhove, z obawy skompromitowania się, prosi Prospera o zwrócenie nieszczęsnego bileciku, jednakże napróżno. Troskę swą zwierza kuzynce swej Zuzannie (p. Pankiewicz), która, znalazłszy bilecik w mieszkaniu Prospera, zmusza go podstępem do zniszczenia tegoż, w końcu zaś pozyskuje miłość jego.

P. Pankiewicz w roli Zuzanny rozwinęła całą finezyą i elegancyą kobiety dojrzałej, starającej się na każdym kroku podejść mężczyznę, szczególniej zaznaczyć nam wypada scenę szukania listu w akcie drugim, odegraną znakomicie.

P. Janowski odegrał rolę Prospera Blocka z humorem i życiem.

Nieszczęśliwą postać Anieli odtworzyła p. Morska umiejętnie. Role Vanhova, Thiriona i Bussiona spoczywały także w godnych rękach pp. Skirmunta, Trapszy i Jakubowskiego

„Panie, zachowaj mnie od przyjaciół moich, bo od nieprzyjaciół sam się obronię.“ Na tle tych słów kilku, które się prawdopodobnie niejednemu często z piersi wyrywają, osnuła p. Marya Czarnowska, pisząca pod pseudonimem Jerzego Horwata, udatną pięcioaktową komedyą p. t „Szczęście Walusia,“ nagrodzoną na konkursie lwowskim w r. 1878.

Zapomniany przez wszystkich biedny muzyk, Waluś, zostaje naraz sukcesorem bogatego swego stryja, a cała rodzina jego, złożona z Chłeptowicza, pp. Węskich i t. d. otacza go nagle czułą opieką i zmusza do małżeństwa z panną Augustyną, daleką kuzynką, o 30 przynajmniej lat starszą od niego. Pomimo protestacyi biednego młodzieńca dzień zaręczyn już oznaczony, Waluś jednak zdobywa się w końcu na cywilną odwagę i ucieka w towarzystwie starego swego nauczyciela i mistrza Jarosza.

W testamencie jednakowoż jest warunek. Sukcesor musi mieszkać na wsi, w przeciwnym zaś razie przechodzi cały majątek w ręce towarzystwa kredytowego. I na ten nawet nieprzyjemny warunek godzi się nieszczęśliwy spadkobierca, chcąc się jedynie od opiekunów swoich uwolnić; ostatecznie decyduje się na pobieranie rocznej renty 1000 rbs. i zaślubia ubogą artystkę, ukochaną swą Annę.

Oto treść krótka sztuki wybranej przez p. Józefa Popławskiego na benefis.

W tytułowej roli Walusia widzieliśmy p. Janowskiego, ktory wywiązał się ze swego zadania, jak zawsze, świetnie Przedstawił on nam dokładnie ten brak energii, przesadzony nieco, jednakowoż możliwy w młodzieńcu niedoświadczonym, przeniesionym w sfery społeczne zupełnie mu obce.

P. Popławski, jako Jarosz, odtworzył bardzo szczęśliwie charakter starego artysty, gardzącego złotem i dostatkami, a widzącego prawdziwe szczęście li tylko w sztuce i miłości bezinteresownej.

Anna, p. Pankiewicz, była w pierwszym akcie bardzo dobrą, w ostatnim jednak — zdaniem naszem — troszkę za sentymentalną i rozmarzoną. W mniejszych rolach zasługują na wzmiankę pp. Siedlecki, jako Chłeptowicz, Trapszo, jako Rożenek, Skirmunt, jako Węski.

Jeszcze słowo na zakończenie Na początku sezonu tegorocznego pozwoliliśmy sobie zwrócić uwagę Szanownej dyrekcyi sceny na jeden niedobór, to jest na orkiestrę, grającą w pauzach.

Jaką opinią kapela ta, zwana „narodową,“ w grodzie naszym się cieszy, o tem rozpisywać się nie będziemy, gdyż zdanie o niej jest ustalone. Pozwolimy sobie jednak zrobić uwagę, czyby nie było dobrze, żeby pan dyrektor orkiestry raczył od czasu do czasu zajrzeć do teatru i objąć osobiście kierownictwo tych koncertów instrumentalnych, które, tak wykonywane, jak dzisiaj, są prawdziwą plagą publiczności, któraby najchętniej z nich zrezygnowała.

St.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

Zygmunt Przybylski wykończył nową, 4 aktową komedyą p. n. „Szastalscy“, a Bliziński pracuje właśnie nad jednoaktówką p. t. „Dzika różyczka.“ Tak więc repertoarowi polskich teatrów przybywają ciągle nowości własne, narodowe, które chyba tylko od czasu do czasu winny być przeplatane arcydziełami obcej sztuki dramatycznej.

Warszawskie czasopismo „Niwa,“ wychodzące dotąd w formacie zeszytowym co dwa tygodnie, ukazuje się od Nowego-roku, jako dwutygodnik, w zmienionej formie objętości arkusza in 4-o.

Nakładem redakcyi „Gazety handlowej“ i „Gazety losowań“ wychodzić zacznie zeszytami „Encyklopedya handlowa“.

Adama Pługa „Trzy legendy z dawnych lat“ wyszły świeżo w Warszawie z ilustracyami Andriollego.

Wydawnictwo zbiorowe „Gwiazdka“ wyszło w Radomiu na korzyść tamtejszego „Towarzystwa dobroczynności“.

Pan Siemaszko z upoważnienia autora przerabia na scenę „Pana Wołodyjowskiego,“ który ma być granym na krakowskiej scenie na benefis jednego z tamtejszych artystów.

Kolonią polskich malarzy w Paryżu składają obecnie pp. Aksentowicz, Andrychiewicz, Cichocki, Ciechomski, Jankowski, Krzesz, Lewi, Merwart, Michalski, Rajsner, Rejchan, Śliwiński i Trębacz.

Przy muzeum sztuki w krakowskich sukiennicach ma być urządzona sala rysunków dla osób, które pragną kopiować na miejscu zbiory muzealne.

Warszawski teatr „Rozmaitości" przysposabia obecnie przedstawienie dwuaktowej komedyi E. Brandesa p. n. „Odwiedziny" i jednoaktową komedyą J. Kościelskiego p. n. „Dzienniczek panny Justysi."

Znany malarz-artysta, Jan Styka, osiedlił się w Kielcach i tam otworzył pracownią.

Z ofiarowanego przez pannę Koch funduszu w ilości milion marek założono w Gdańsku dom dla ubogich panien, w którym każda panna po ukończeniu lat 60 znajdzie schronienie i wygodne utrzymanie.

Na wielkiem zgromadzeniu wyborczem w Edynburgu zapowiedział Lord Salisbury, że odtąd należy walczyć wytrwale o zupełne równouprawnienie kobiet nawet na polu politycznem. Tego rodzaju równouprawnienie istnieje już w Stanach Zjednoczonych, bo, jak donoszą amerykańskie dzienniki — 20000 kobiet brało w ostatnim czasie udział w wyborach radzców gminnych w Bostonie i przy pomocy owej niewieściej falangi republikanie zwyciężyli demokratów.

Francuzki „Journal des Débats" obchodzić będzie w bieżącym roku setną rocznicę swego istnienia.

Spuścizna po J. I. Kraszewskim okazała się jeszcze okazalszą, aniżeli przypuszczano. Po uregulowaniu interesów wynosi sukcesya, spadająca na żonę, dwie córki i dwóch synów zmarłego powieściopisarza 92,000 rs, a nie wchodzi w to biblioteka, która sprzedaną zostanie w całości, lub częściowo.

We Lwowie, w kościele Dominikanów, w kaplicy hr. Borkowskich odsłoniono pomnik ku uczczeniu zmarłej poetki, Maryi Bartusówny.

Z pośród aptek warszawskich ma być jedna wydzierżawiona kobiecie, pannie Józefie Biegońskiéj, która ukończyła studya farmaceutyczne w Zurychu. W aptece tej mają być przyjmowane na naukę wyłącznie kobiety. — Warszawa liczy także ośm szkół rzemiosł dla kobiet.

Na uniwersytet w Zurychu zapisało się w półroczu bieżącem 70 kobiet, z tych na wydział medyczny 46, na prawniczy tylko 3.

W przyszły czwartek, d. 14 b. m. odegrany zostanie na benefis naszej artystki dramatycznej, pani Eleonory Królikowskiej, po raz pierwszy 4-aktowy obraz dramatyczny ze śpiewami i tańcami p. n. „Wnuk Tumrego," oryginalnie napisany przez Wł. Gutowskiego, z muzyką A. Padygi. — Sztuka ta jest niejako epilogiem grywanej dawniej na scenie naszej z wielkiem powodzeniem „Chaty za wsią" — w Warszawie wielokrotnie przedstawiana zyskała powszechne uznanie; mamy przeto nadzieję, że i poznańska publiczność licznie się zbierze na czwartkowe przedstawienie już to dla poznania nowej polskiej sztuki, a przede wszystkiem, aby dać wyraz uznania uzdolnionej, pracowitej i sumiennej artystce, p. Królikowskiej, której benefis Czytelnikom „Domu polskiego" gorąco polecamy.

Promyki.

(Z „Teki pamiątek" Anny z Ł. S.)

Orłem przez młodość człowiek przeleci,
Przez życie idzie oraczem.

W. Pol.

Gdy kto podepce uczucie kobiety — ona kamienieje. Odtąd świat przestaje istnieć dla niej: albo myśli swe w szalonym śmiechu zamyka, albo grób sobie za życia kopie. S.

Szczęście innych jest pociechą dla tych, którzy już szczęśliwymi być nie mogą. Balzac.

Prawdy zstąpiły nagie na ziemię, a sztuka sprawiła im sukienki. Goethe.

Łatwiej poznać, czem kto jest i co wart, z tego, jak się bawi, niż z tego, nad czem pracuje. Schiller.

Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę.
A. Mickiewicz.

Rzućmy przyszłości złudne mamidła!
Przeszłości marę już zamknął grób;
Czas nam do czynu rozwinąć skrzydła,
Przed nami — praca, nad nami — Bóg!

ŁAMIGŁÓWKA

(ułożyła W. dla Ż.)

SYLABY: an, ce, cir, cki, go, hel, hi, ka, le, li, me, mie, niec, o, ob, ro, śni, wie, win.

Znaczenie wyrazów: 1. Jedna z najważniejszych warowni za czasów dawnej rzeczypospolitej polskiej. — 2. Kardynał, biskup i sławny polityk. — 3. Postać mitologiczna. — 4. Mąż biblijny. — 5. Bohater znanego utworu poetycznego. — 6. Dawna dynastya królewska.

Początkowe i końcowe głoski, czytane z góry na dół, oznaczają wyrazy, z serca do serca płynące.

Szarada.

Ułożyła Zofia An.

Na pierwszą, trzecią goście zawsze chętnie jadą,
Druga z pierwszą na niebie licznych gwiazd gromadą;
Trzecia z drugą — nie prawa to część twej postawy,
W kartach bywa przyczyną burzliwej rozprawy! . .
Całość z końcówką — Autor! . . ma słuszne uznanie,
Jako „Ktoś" występuje! . . lecz zgadniecie, Panie,
Bo często podziwiacie talent Jego wielki,
Naukę, bystrość, dowcip i . . . śliczne nowelki!*)

Za rozwiązanie powyższej łamigłówki i szarady przeznacza się wylosowaną nagrodę.

*) My dodamy: w „Dom polski" nie da się uprosić,
Więc z żalem nam przychodzi te zalety głosić!
(P. R.)

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika Poznańskiego.